

BLOG

Olaf Osica Obama jest naszym dłużnikiem

Grudzień 2009

Dzisiaj nie jestem w stanie bronić polskiego udziału w operacji afgańskiej ani zwiększenia naszego zaangażowania. Rozumiem jednak, dlaczego rząd i prezydent pośpieszyli się z decyzją: to jedyny realny i zarazem ostatni instrument polskiej polityki wobec USA – pisze Olaf Osica w “Tygodniku Powszechnym”.

“Tygodnik Powszechny” Nr 50 (3153), 13 grudnia 2009

Niespełna rok od momentu objęcia urzędu prezydenta Barack Obama ujawnił nową strategię USA w Afganistanie. Zrobił to w swoim stylu: świetne przemówienie podczas wyreżyserowanej uroczystości na prestiżowej akademii wojskowej West Point przyciągnęło uwagę światowych mediów. Nas miało przekonać, że mamy do czynienia z nowym podejściem, które w ciągu 18 miesięcy przyniesie wymierne efekty. Po tym czasie wojska amerykańskie mają być stopniowo wycofywane. Istotą nowego planu jest zwiększenie zaangażowania militarnego o kolejne 30 tysięcy żołnierzy, skoncentrowanie się na budowie afgańskiej policji i sił zbrojnych oraz poprawa warunków życia ludności cywilnej.

Jak każdy plan, także i ten ma szansę na realizację. Dzisiaj jednak trudno w niego uwierzyć, a wiara i nadzieja coraz bardziej stają się jedynym źródłem optymizmu, które nam pozostało. Analizując racjonalnie sytuację, nie ma bowiem powodów, dla których akurat tym razem rozwój wypadków w Afganistanie miałby potoczyć się po naszej myśli. Działania, które zapowiedział Barack Obama, nie są przecież tak nowe, jak może się to nam wydawać.

Błędy i zaniedbania

Gdy w roku 2001 USA rozpoczęły interwencję w Afganistanie, jej efekt był piorunujący: całkowite zwycięstwo militarne i sprawne, choć nie pozbawione problemów przejście do politycznej i gospodarczej fazy budowy struktur państwa. Przekonanie o całkowitym kontrolowaniu sytuacji zrodziło jednak błędy w strategii.

Największym było otwarcie frontu irackiego, który nie tylko odciągnął część sił zbrojnych, ale przede wszystkim spowodował spadek zainteresowania Afganistanem. Gdy po kilku latach okazało się, że proces odbudowy ugrzązł w martwym punkcie, podjęto nowe inicjatywy. W ich efekcie Afganistan został „zalany pieniędzmi” i pomocą międzynarodową, która niczego nie rozwiązała, natomiast stworzyła słuszne podejrzenia, że wybrany w demokratycznych – jak na miejscowe standardy – wyborach rząd Hamida Karzaja jest skorumpowany. Fakt ten przyjęto z oburzeniem i pewnie na oburzeniu by się skończyło, gdyby nie konstatacja, że rząd afgański nie jest także w stanie efektywnie kontrolować terytorium, a afgańska policja i armia są niezdolne do pełnienia swych misji. Problemem był (i nadal jest) m.in. brak elementarnej wykształcenia wśród zdecydowanej większości rekrutów i brak jakichkolwiek tradycji państwowych. A bez obu tych czynników nie można w krótkim czasie zbudować jakichkolwiek zrębów instytucji państwa. Kłopoty USA w Iraku, który także wymykał się

spod kontroli, prawdę tę obnażyły, ale zabrakło determinacji, aby z sytuacji tej wyciągnąć polityczne wnioski.

Dopiero uporanie się z Irakiem wydawało się tworzyć szansę na dokończenie wojny w Afganistanie. Wydawało się, ponieważ w miarę upływu czasu i postępów działań w Iraku, operacja afgańska napotykała na nowe przeszkody. Talibowie odbijali kolejne prowincje, sojusznicy USA stracili wiarę w sens wojny, a odbudowa Afganistanu nie mogła się posuwać dalej, ponieważ rząd centralny władał jedynie Kabulem. Także działania tzw. Prowincjonalnych Zespołów Odbudowy NATO były niewystarczające.

Na progu wojny domowej

Rok 2008 i początek obecnego przyniosły kolejne otwarcie. Przedstawiciele nowej amerykańskiej administracji zwrócili się do sojuszników o wysłanie kolejnych żołnierzy, a także zwiększenie obecności ekspertów cywilnych, bez których odbudowa Afganistanu i zdobycie „serc i umysłów” miejscowej ludności nie są możliwe. Przełomem było także uznanie, że problemu afgańskiego nie da się rozwiązać w separacji od wewnętrznej ewolucji Pakistanu, który zaczynał ulegać stopniowej „afganizacji”.

Ostatnim akordem, poprzedzającym ubiegłotygodniowe przemówienie Baracka Obamy, były wybory prezydenta Afganistanu. Zwycięstwo Hamida Karzaja stało się jednak możliwe dzięki pogwałceniu demokratycznych reguł gry.

Osiemnaście miesięcy, które Waszyngton daje sobie na ostateczne rozwiązanie afgańskiej zagadki, nie musi zatem przynieść i najpewniej nie przyniesie ani rzeczywistej zmiany sytuacji, ani wycofania się USA. Chodzi raczej o odzyskanie inicjatywy na miejscu. Sekretarz obrony Robert Gates podczas przesłuchania w Senacie przekonywał, że data ma zmobilizować władze afgańskie do poważnego zajęcia się budową policji i sił zbrojnych, a także odbudową kraju. Założenie to jest jednak ryzykowne, ponieważ prezydent Karzaj nie jest przywódcą afgańskiej wspólnoty politycznej. Nie tylko dlatego, że jej nie ma, ale przede wszystkim ponieważ uosabia myślenie o państwie jako „rodzinnym biznesie”.

Także powtórzenie manewru irackiego – czyli oparcie strategii wojskowej na kumulacji siły zbrojnej, a następnie zmasowanym użyciu jej przeciwko punktom oporu przeciwnika – nie musi przynieść podobnych wyników. Wojna w Iraku koncentrowała się wokół miast i skupisk ludzkich, a w Afganistanie ludność żyje w rozproszeniu.

Zmartwieniem jest także pogarszająca się sytuacja w Pakistanie. Poddany presji islamskich fundamentalistów od wewnątrz i naciskom amerykańskim od zewnątrz kraj znajduje się na skraju wojny domowej.

Wchodzimy do tej samej rzeki

Plan Baracka Obamy spotkał się z pozytywnym przyjęciem Rady Północnoatlantyckiej NATO. Jednak według wstępnych szacunków, odpowiedzią 29 członków sojuszu na wysłanie przez USA 30 tysięcy żołnierzy jest zadeklarowanie dodatkowych 5 tysięcy. Wśród wysyłających nie znalazły się ani Francja, ani Niemcy, które na decyzję dały sobie czas do konferencji w sprawie Afganistanu (odbędzie się 28 stycznia w Londynie.) Należy jednak do nich Polska, która posiada szósty co do wielkości kontyngent spośród europejskich członków sojuszu (1910 żołnierzy według źródeł ISAF), a ósmy w ogóle. Teraz mamy wysłać dodatkowych 600 żołnierzy.

Trzy lata temu wziąłem udział w debacie, której patronował „Tygodnik Powszechny”, poświęconej wojnie w Afganistanie. Razem z ówczesnym ministrem obrony Radosławem Sikorskim broniłem decyzji o zaangażowaniu Polski w operację NATO ISAF i wysłaniu dodatkowych kilkuset żołnierzy. Z perspektywy czasu uważam, że decyzja ta nie przyniosła realnych korzyści. Sytuacja w Afganistanie

nie uległa wyraźnej poprawie, a Polska nadal jest daleka od realizacji swych postulatów wobec USA i NATO, związanych z naszymi interesami bezpieczeństwa. Koncepcja „wzajemnych przysług” okazała się fiaskiem.

Dzisiaj nie jestem w stanie bronić polskiego udziału w ISAF ani tym bardziej zwiększenia naszego zaangażowania, używając argumentów w rodzaju „interesu narodowego” czy też „przyszłości NATO”. Rozumiem jednak, dlaczego rząd i prezydent pośpieszyli się z decyzją: jest to jedyny realny i zarazem ostatni instrument polityki Polski wobec USA. Instrument, którego wartość w perspektywie kilku lat nie tylko zniknie, ale którą dzisiaj sami obniżamy, używając go zbyt pochopnie i nie patrząc na szerszy kontekst problemu. Postawa naszych sojuszników – atlantyckiej Francji i ponownie atlantyckich Niemiec – sugeruje bowiem, że elity obu tych państw nie wiążą przyszłości NATO z wynikiem kampanii afgańskiej.

I mają rację. Bez względu na ostateczny wynik wojny, dla obecnego pokolenia zachodnich polityków Afganistan pozostanie synonimem klęski i źródłem traumy, która na lata przesądzi o pasywnej postawie Zachodu wobec globalnych wyzwań bezpieczeństwa. Tymczasem Polska po raz kolejny wchodzi do tej samej rzeki w nadziei, że „tym razem” USA znajdą się pod tak silnym wrażeniem naszej solidarności, że zrewidują swą politykę wobec naszego regionu. Jest to nierealne. A usilne przekonywanie się, że jest inaczej, tego faktu nie zmieni.

Jedyną, co dzisiaj skłania mnie do poparcia polskiego zaangażowania w Afganistanie, to wzgląd na ludzi, którym mieliśmy przynieść wolność i stabilizację, a faktycznie przedłużyliśmy cierpienia. 600 dodatkowych żołnierzy stanu tego oczywiście nie zmieni. Raczej wzmocni bezpieczeństwo naszej misji (co nie jest przecież bez znaczenia). Misji, która za osiemnaście miesięcy musi się zakończyć. W tej kwestii to Barack Obama jest naszym dłużnikiem. Nie bójmy się zatem trzymać go za słowo.

Dr Olaf Osica jest ekspertem Centrum Europejskiego Natolin w Warszawie i wykładowcą w Instytucie Unii Europejskiej Collegium Civitas. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

[Tekst ukazał się w „Tygodniku Powszechnym”](#)